

— Idzie więc o to, abyś kapitan te oto dokumenty mu zawiązał.

Działyński sponsował.

— Daruje pan pułkownik, lecz nie do niego należy wydawanie mi ordynansów!...

— Najpierw zobacz pan z czem przybywam!

Działyński, miarkując rozdrażnienie, poniósł do oczu papiery, aby tem rychlej zbyć natręta, gdy raptem zmieszal się.

— Przepraszam, za pozwoleniem, ależ...

— Czytaj pan do końca i obejrz te oto depesze...

Kapitan jednym tchem przebiegł treść listu.

— Istotnie, panie pułkowniku... Jadę natychmiast do Modlina! Niech mi pułkownik wybaczy! Przypuścić nie mogłem! To haniebne, straszne! Wódz naczelny musi wiedzieć o tem dziś jeszcze, chwili niema do stracenia.

Bem w kilku słowach objaśnił Działyńskiemu o tem, jak doszły go papiery.

Kapitan zapisał sobie skrupulatnie nazwisko profesora baterii i z całą prostotą jął przeproszać Bema za niefortunny swój upór. Pułkownik znów, mile tknięty szczerością wytwornego adjutanta magnata, starał mu się odwzajemnić. I stąd wszczęła się tak zgiełkliwa rozmowa, że ani Działyński ani Bem nie zauważyli dudnienia przed pałacem wielkiego koczka, oprężniętego znaną całą Warszawie czwórka koni, nie słyszeli ani zgiełku, który się wszczął z tego powodu u głównego zajazdu, ani mocnych kroków, nadchodzących ku nim wraz z energicznym stukotem laski.

Dopiero kiedy od proga komnaty zabrzmiał ku nim donośny, tubalny głos:

— Gdzież więc nareszcie się podziewa ów pan adjutant?! — postrzegli majestatyczną, tęgą postać generała-gubernatora Warszawy, generała Krukowieckiego.

Działyński wysforował się posuwicie ku nadchodzącemu.

— Hrabio-generale!

— A jesteś pan! Przynajmniej ktoś! Dobrze i to, mości dobrodzieju! Kogo widzę! Pułkownik Bem. Witam, witam serdecznie i winszuję pułkownikowi...

— Generale...

— Wiem, wiem pułkowniku i nie z rozkazu dziennego, mości dobrodzieju, nie z rozkazu, bo nasze dzienne rozkazy po nocy się piszą! — Uf! Niechże sobie usiądę!

Bem ku wyjściu się cofnął. Krukowiecki ściągnął furazerkę, otarł spoczone czoło kraciastą chustką i zagadnął:

— Gdzież tedy, mości dobrodzieju, podziewa się pan Skrzynecki?

Działyński wyprostował się.

— Generał wódz naczelny wyjechał, jest w drodze...

— Do Ostrołki! Co?

— Generał wódz naczelny sam tylko może hrabiemu generałowi udzielić w tym razie odpowiedzi...

— Cha-cha! Sądziś, kapitan! Niech tak będzie! Ja tu właśnie przybywam w sprawie ostatniego pisanja pana generała i wodza...

Bem stanął na progu, lecz Krukowiecki ozwał się doń przyjaźnie.

— A nie pułkowniku, nie odchódź! Przerwałem wam, lecz krótko tu popasać będę...

— Nie, generale, załawiłem moją sprawę z panem adjutantem, a że czas na mnie...

— Zostań, mości dobrodzieju, podwiozę cię, gdzie chcesz...

— Pan generał bardzo łaskaw... zaczekam więc w przedsionku, gdyż nie chciałbym...

— Cóż znowu, mości dobrodzieju! Przeciwnie, jako oficer artylerii winienesz być przytomnym, bo to akurat coś dla pułkownika! Kalkulujże sobie, że jesteś generałem gubernatorem Warszawy, że masz wyłącznie sobie powierzone bezpieczeństwo i obronę stolicy i że ci imć pan generał i wódz przyśle taką konotatkę!

Tu Krukowiecki podał Bemowi rozkaz wodza naczelnego. Bem nie wiedział, co odrzec. Działyński stał wyprostowany, zimny z pozoru.

— I cóż pułkownik? He? — nalegał Krukowiecki. — Piękny koncept! — Dwie baterie pozycyjne zdając z Szańców, oddać miasto na łaskę

i niełaskę łada ataku i dlaczego... Ano, bo mości dobrodzieju, wódz naczelny chce je zabrać sobie na odprawienie nowego spaceru! Ale ja na to armat nie mam! Z tem właśnie do kapitana adjutanta przybywam. Powiesz, z łaski swojej, wodzowi naczelnemu — że Warszawa nie jest Częstochową, ani ja Kordeckim, abym cudami lunety ostrzeliwał. — Armat nie dostanie, mości dobrodzieju, bo i tak za dość ich zmarnował! To zechcesz, panie adjutancie, powtórzyć odemnie panu Skrzyneckiemu!

Działyński wyprężył się tak, że mu akselbanty zachręściły.

— Mam honor oświadczyć panu generałowi, że misji tej się nie podejmę, jako uchylającej godności i władzy generała i wodza naczelnego wojsk polskich...

Krukowiecki postawił groźnie swe wielkie, płowe oczy na Działyńskiego.

— Jakto, mości dobrodzieju, jakto kapitan ośmielasz się mnie, najstarszemu niemal z generałów!?

— Czynię to z winnego zachowania dla wysokiej rangi. Nie moje prawo mieszać się do tego,



Złotko niosę panu pułkownikowi...

co między generalicyą jest przedmiotem sporów. Jeżeli hrabia-generał masz za słuszne w podobny sposób odpowiadać na rozkaz wodza, racz na pismo pismem odpowiedzieć.

Krukowiecki zachnął się.

— Pismem, mości dobrodzieju! Hm! Tak, to wasze ulubione bakalarstwo, gryzmoły, pisanina, kauzypierdstwo! Inkaustem wojny nie wygracie! Ale cóż — chwałę kapitanowi odpowiedź! Masz słuszność. Adjutantka służba — stać, pełnić ślepo, co każą, a nie w rozprawy się wdawać! Przyznaję ci. Setnie rzekł!ś! Uniostem się, mości dobrodzieju. Lecz Krukowiecki, jak baka strzeli, to ma zawsze odwagę w piersi się brzdęknać! Wyśmienicie! Daj mi pióra i papieru! Na pismo musi być odpis! Nie przyszło mi, bo myślałem, że pan Skrzynecki w pudermantlu wczasy odbywa po trudach ostatniej kampanii! Jest w drodze, dzięki Bogu, dzięki Bogu...

Generał gubernator Warszawy przy tych słowach zasiadł za stołem.

Pióro zaskrzypiało przeraźliwie po papierze.

Bem tymczasem stał pod ścianą, zapatrzony bezwładnie we wzorzyste tafle podłogi. Wstyd, wstyd go jakiś ogarnął, że nie śmiał oczu podnieść, że nie śmiał wyznać przed własną świadomością tych myśli, które mu się pod czaszką kłębiły.

Krukowiecki szarpnął zamasyście piórem, bryznął atramentem przy zakrętasie i stuknął łaską.

— Na — jest i odpis! Zechciej go doręczyć, kapitanie!

— Nie omieszka!

— Wielcem obowiązany i kłaniam! A daruj, pułkowniku, żem cię zatrzymał. Lecz cóż artyleryjska sprawa, więc prawie twoja! Pozwól, pozwól, a nie przodem, bo do mojej idziemy landary!

Bem rozumiał, że teraz za wszelką cenę wypada mu wymówić się od uprzejmości Krukowieckiego, ileż uprzejmość ta nabiera dlań pozor jakowegoś aksesu do chryi o armaty, ale generał-gubernator tak obcesowo do pułkownika się zabrał, z taką dlań estymą wystąpił, że znów bez narażenia na zatarg nie miły, niepodobieństwem było uchylić się.

I Bem, rad nie rad, zasiadł w koszu obok generała.

— Więc dokąd każesz, mój pułkowniku!?

— Właściwie zgola nadużywam...

— Cóż znowu, cóż znowu!

— Bo tylko na Plac Zamkowy!

— O co to, to ani! Przejedziemy się do Ujazdowa. Pokażę ci naszych zuchów warszawskich, jak się mustrują!

— Ależ doprawdy...

— Nic — szkapy zawieruchy piórunem pójdą! Grześ, wypuszczaj na Ujazdów.

Stangret, po krakowsku wystrojony, pękął chwacko z biczyśką. Siwosze poszły z kopyta.

Krukowiecki zagadnął rażno do Bema o przyjemności wielkiej spotkania tak zacnego oficera, o tem, że przecież obaj z jednej ziemi galicyjskiej się wywodzą, wypominał mu i wiczerzę wspólną przed bitwą lipską i powrót z Saint Denis, z rewii cesarskiej, kiedy to Bem spragnionego Krukowieckiego jabłecznikiem uraczył i dla czynów pułkownika pod Ugarniami i Ostrołką miał mnóstwo gorącego zapalu — a przecież Bem, choć silił się, choć się zmagił, ledwie zbywał generała-gubernatora.

Aż Krukowiecki umilkł nagle i gdy pułkownikowi zdawało się, że generał całą uwagę skupia, aby na witające go co kroku ukłony odpowiadać, gubernator uciął rubaszenie:

— Rozumiem cię pułkowniku, jesteś mi krzyw za Skrzyneckiego!

— Ależ, nie do mnie...

— Nie powiadaj, mości dobrodzieju! W jednym ogniu bywałem, pod jednemi kulami! Możemy ze sobą otwarcie, mości dobrodzieju, pocztować! Myślisz, że mnie, mnie taka, jak dzisiejsza rozprawa nie doskwiera, nie boli? Myślisz, myślisz, że i ja nie znam się na tem, czem powinna być osoba wodza naczelnego? Żeć w nim, niby pragnienie całego narodu, niby przedstawicielstwo walki całej się „personuje”! Pułkowniku, owóż ci powiem — że dziś, że przed chwilą dałem folgę niewczesną żalości, co mnie trawi, rozpiera, co mnie dręczy! że do końca życia bodaj tej folgi płakać będę. Nie w takim obyczaju wyrosłem!... Ale gdybyś, mości dobrodzieju, miał moje siwe włosy, moje generalstwo tylu latami służby wypracowane i gdybyś widział zbliżka, jako ja codzień patrzę, na niedołęstwo, lekkomyślność zarozumiałca — inaczej, inaczej byś sądził. Zawistnym, mości dobrodzieju, nie jestem! Napoleon, jako podrzędny oficer, w pięć czy sześć lat przerósł wszystkich swoich generałów i naczelników. A przecież żadnemu z tych ani widziało się czynić mu wstręty. Lecz Napoleon „jenjuszem” się wypromował, a nie wielką sztuką odważnego dowodzenia pułkiem! Myślisz, że Skrzyneckiemu odmawiam tego, co mu się należy!? że nie pragnąłbym pierwszy przyznać mu i to, czego mu niedostaje? Najuczciwszy człek może być, przy całej swej uczciwości, zbrodniarzem i łotrem, jako naczelny wódz! No powiedz, powiedz sam, pułkowniku, czyli z ręką na sercu, zdolen jesteś przyznać słuszność rządowi Skrzyneckiego?

— Prawda, generale, ale Bóg raczy wiedzieć, co lepsze, czy iść spodem za jednym, choć nie tęgim przewodem, czy w pojedynkę, w rozsypkę.

(Dalszy ciąg nastąpi).